№ 47. Warszawa, dnia 8 (20) Listopada 1875 roku



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Od Redakcyi.

W roku przyszłym 1876 tak **Tygodnik Mód i Powieści** jak i **Przyjaciel Dzieci,** pod temi samemi wychodzić będzie warunkami co i w roku ubiegającym, upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej.

Ponieważ w roku bieżącym tak znacznie się zwiększyła liczba prenumeratorów, iż byliśmy w obawie możności zaspokojenia ciągle przybywających zapisów, czujemy się przeto w obowiązku podać do powszechnej wiadomości, iż nakład na oba pisma powiększyliśmy, i że nowi prenumeratorowie na zawód niedoboru żądanych egzemplarzy narażeni nie zostaną.

Oprócz artykułów i powieści pań: Orzeszkowej Elizy, Marrené Waleryi (Morzkowskiej), A. Dzieduszyckiej, Maryi Szeligi (Mireckiej), pp. J. I. Kraszewskiego, Ludwika Niemojowskiego, L. W. Szczerbowicza, Sygurda Wiśniowskiego, J. Prusinowskiego i wielu innych, mamy przyrzeczone równie współpracownictwo Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa), którego powieść drukować wkrótce będziemy w Tygodniku Mód.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Pismo to coraz większem ciesząc się uznaniem, nie tylko zachęca do nauki i czytania, ale wpływa niezmiernie na poprawę moralną dzieci, w czem śmiało odwołujemy się na świadectwo Rodziców, Nauczycielek i Nauczycieli, obdarzających nas bardzo licznemi korespondencyami z wyrażeniem za to podziękowania.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Nadmieniamy przytem, że dla Prenumeratorów obu tych pism, Redakcya załatwia wszystkie sprawunki i polecenia, za małem nader wynagrodzeniem osoby jedynie tem się zajmującej.

Mistrz i pierwowzór sielanki,

Z dodaniem przekładu I eidyllion Teokryta

wierszem miarowym dokonanego

PRZEZ

L. Szczerbowicza - Wieczora.

Ktokolwiek, choć powierzchownie obeznany z historyą i dziejami cywilizacyi starożytnych Greków, zastanowi się nad znaczeniem dla ludzkości tego nadzwyczajnego narodu, ten przekona się niebawem, że jego literatura dostarcza zawsze niemało ożywczego pokarmu dla umysłu i serca. Naród grecki, niby świetny meteor krótko jaśniał na widowni dziejowej i przypomina on owe owady efemeryczne, dla których „życiem wschód, śmiercią południe"; lecz pomimo że cały żywot jego historyczny nie przenosi kilku stuleci, przeszedł on niemal wszystkie studya rozwoju i założył podwaliny cywilizacyi sztuk i nauk dla długich późniejszych wieków.

Jedna z baśni greckich mówi, że pewny szczep tego narodu powstał z mrówek i zaprawdę z mrówczą skrzętnością Grecy założyli podwaliny przyszłego gmachu cywilizacyi. W dziejach starożytnych, Grecy opasali świat starożytny swemi osadami rozwijając handel i przemysł, łącząc ludy spólnemi węzły, stawili czoło azyatyckim najezdzcom i uratowali cywilizacyę europejską od perskiego pogromu, rozwinęli życie państwowe i społeczne, tchnęli swego ducha w Rzymian, swoich pogromców i spadkobierców i pod niejednym względem przygotowali tryumf chrześcijaństwa. W nauce i sztukach Grecy sami bez poprzedników, stworzyli wszystko i doszli do najwyższego szczytu doskonałości, jaki tylko był dla nich przystępnym. Najgodniejszą uwagi jest przy tem ta okoliczność, że rozwój sztuk, nauk i rozmaitych rodzajów literatury odbywał się u nich stopniowo, or-

ganicznie i naturalnie. Tak w pierwotnej epoce młodości lud grecki żył duchem na zewnątrz, zachwycał się dziejami bohaterów i bogów, wtedy powstały nieśmiertelne epopeje Homera, a w prozie równolegle rozwinęło się dziejopisarstwo, które otrząsnąwszy się z mitologicznego kolorytu, zakwitło dojrzałą mądrością męża stanu i filozofa w dziełach Tucydydesa. Następnie duch grecki zagłębił się w wewnętrzne swoje tajniki i oto powstała filozofija, której szczytem był system Platona — jednego z najświetniejszych, wzbudzających podziw geniuszów ludzkości, a w poezyi odpowiadała jej liryka narodowa, która w utworach Pindara wzbiła się na niedościgłe już nigdy później wyżyny. Nakoniec zespolenie zewnętrznego żywiołu z wewnętrznym — spostrzeżeń i stosunków do otaczającego nas świata z zastanowieniem i obserwacyą wewnętrzną ducha nad samym sobą — wydało nieśmiertelne dramata Eschylosa i Sofoklesa, a w prozie — odpowiedni rodzaj krasomówstwa, ktorego kwiatem były mowy Demostenesa. Jednocześnie potrzeby życiowe, wysokie estetyczne usposobienie i pogodny nastrój greckiego ducha, którego właściwym żywiołem była harmonija, zrodziły sztuki piękne, doprowadzone przez Greków do takiego stopnia doskonałości, że utwory ich malarstwa i rzeźby pozostają do dziś dnia niedościgłym wzorem dla naszych artystów. Wiadomo, że ułamki i okruchy z posągów i waz greckich, cenione drożej często niż na wagę złota, poszukiwane i przechowywane w muzeach, są najwyższym wyrazem doskonałości ludzkich wyrobów w tej sferze.

Podziw i uwielbienie dla geniusza Grecyi i jego płodów, nie powinny nas jednak prowadzić na manowce, co właśnie zdarzało się już nieraz w czasach nowożytnych. Literatura i sztuka grecka była niewątpliwie w zupełności narodową i dla Greków całkowicie doskonałą; i dziś jeszcze podziwiamy zarówno jej treść jak i formę, wdzięczni jesteśmy Grekom za to że oni to stworzyli i wynaleźli wszystkie rodzaje utworów literackich i artystycznych, ale treść wyłącznie grecka nie wystarcza już dla nas, podobnie jak i pod względem formy języki nowożytne i sztuka nowożytna mają swoje wymagania nieznane staremu światu. Znaczy to, że ograniczyć np. poezyę nowożytną do treści z podań trojańskich, prawie, jak niegdyś Homer lub Eschylos, o Zeusie, muzach, Apollinie byłoby równą niedorzecznością jak odmawiać chrześcijańskim kościołom wszelkiej wartości w obec greckiej architektury, odrzucać, jako nieestetyczne i barbarzyńskie wszelkie chrześcijańskie przedmioty do obrazów i rzeźb, dla tego że Grecy ich nie znali, lub naginać gwałtem języki nowożytne do form greckiej składni.

A jednak—rzecz dziwna— nieraz ludzkość bywała w takim obłędzie, zkąd niesmaczne kierunki niewolniczego naśladownictwa, zwanego klasycyzmem w XV i XVI stuleciu, a słuszniej pseudoklasycyzmem jeszcze w XVII, XVIII, ba nawet i w XIX wieku. W naszych dopiero czasach zrozumiano, że chociaż u Greków literatura i sztuka były prawie doskonałe, to jednak nie wszystko da się żywcem do nas przenieść: należy tylko pragnąć ażeby i nasza literatura i sztuka doszły do stopnia równej doskonałości, co nie znaczy wcale ażeby były *takie same* — dość, jeśli będą *tak samo* dla nas doskonałemi, jak literatura i sztuka grecka były doskonałemi dla Greków. Niewątpliwie w tym celu należy badać literaturę i sztukę grecką, gdyż pełno tam wzorów nieśmiertelnych, myśli i poglądów ogólnie ludzkich i wskazówek, jakim sposobem Grecy uczynili swą sztukę i literaturę tak w zupełności narodowemi i prawie doskonałemi. Dla tego powyżej streszczony prawdziwy pogląd na świat starożytny, nie tylko że nie sprowadził zaniedbania studyów nad grecką starożytnością, ale przeciwnie: nigdy jeszcze nauka języka i literatury, dziejów i sztuki greckiej nie była tak poważną, głęboką, racyonalną i wszechstronną, w całym, że tak powiemy, rynsztunku i z całym zasobem poważnej nauki prowadzoną, jak w naszych właśnie czasach, oczywiście w Europie zachodniej, we Francyi, Anglji, Ameryce, a przedewszystkiem u Niemców, narodu, jak mówią praktycznego i najpotężniejszego. W naszych czasach studya klasyczne rozwijają się i rosną, podobnie jak niegdyś w XVI wieku, z tą tylko różnicą, że wówczas świat pogrążony w ciemności średniowiecznej zapomniawszy na kilka wieków o swojej klasycznej kolebce, na nowo niejako ją odkrył i pijąc chciwie z tego wiecznie młodego źródła z zapałem i uniesieniem wpadł we wspomnianą powyżej ostateczność; dzisiaj zaś, trzeźwo i rozważnie, z należytem rozumieniem różnic dziejowych, wolni od owej ostateczności, możemy swobodnie kąpać ducha i myśl nie wesołą rzeczywistością zwarzone w odwiecznej skarbnicy piękna, jaką jest grecka literatura i sztuka.

Nasze społeczeństwo niestety, karmione ulotną literaturą częstokroć bez wartości, bardzo mało jeszcze ma udziału w owej biesiadzie duchowej, jaką jest umiejętne i trzeźwe korzystanie ze skarbów literatury greckiej. Skarby te są przystępne dla wszystkich: każdy stan i wiek, każda płeć znajdzie tam dla siebie zajmujące i pouczające rzeczy, a to pomimo że posiadane przez nas utwory literatury greckiej są zaledwie nieznaczną cząstką zaginionych w ciągu wieków jej skarbów. W obec więc powyższego braku w literaturze naszej bieżącej, a także w przekonaniu o przystępności literatury greckiej, przy należytym wyborze, dla każdego i dla wszystkich, piszący postanowił podać czytelnikom i czytelniczkom Tygodnika do ręki niniejszą krótką wzmiankę o Teokrycie i przekład jednego z jego utworów.

Wspomniano powyżej o rozwoju organicznym i stopniowym wszystkich rodzajów poezyi i prozy w literaturze greckiej. Gdy przeminęła epoka narodzin wielkich kreacyj, upadająca Grecya zdobyła się jeszcze na twórczość w zakresie szczuplejszym i wydała nowe podrzędniejsze rodzaje poezyi jak elegią, romans i sielankę. Gdy świat bogów i bohaterów pogrążył się w pomroce, gdy wzniosłe natchnienia podtrzymujące narodową lirykę wygasły, gdy sztuka dramatyczna wraz z poezyą wpadły w zapomnienie, gdy zniedołężniałe pokolenia Grecyi, osłabione i podupadłe w walkach bratobójczych, po utracie niepodległości i zagaśnięciu dawnych ognisk oświaty, karmiły się już tylko resztkami dawnych swych skarbów, przerabiając i studyując dawne utwory, a nawet niezbyt fortunnie je naśladując, w owej epoce, gdy z wygaśnięciem genijusza twórczości byli tylko szperacze, badacze, naśladowcy, zajaśniał jeszcze łagodnym i skromnym blaskiem Teokryt, urodzony około 290 roku przed Chrystusem na wyspie Sycylji; następnie znaczny czas spędził w Aleksandryi na dworze Ptolomeuszów i tu napisał większą część swoich utworów.

Trudno nadać wspólną nazwę wszystkim utworom Teokryta. Grecki wyraz *eidyllion*, od którego pochodzi używane w nowszych językach miano *idylli*, bynajmniej nie oznacza *sielanki*, jak to błędnie mniemają niektórzy: *eidyllion* — to nazwa ogólna, oznaczająca *obrazek* rodzajowy (genre). Ani życie sielskie, ani byt pasterski nie stanowią wyłącznie obrazków Teokrytowych i owszem opisuje on czasem obyczaje miejskie i obchody uroczystości dworskich (eidyll. XV), czasem wkracza w cykl epicko-bohaterski (np. eid. XIII, XVI, XIX), niekiedy unosi się czystym liryzmem (np. eid. XII, XVIII i t. d.)

Charakterystyczną cechę obrazków Teokryta stanowi dramatyczność: najlepsze z jego utworów są to monologi i dyalogi, które nawet wybornie dałyby się przedstawić na scenie (np. I eidyllion); ztąd niektórzy uczeni niebezzasadnie zaliczają je do obrazków dramatycznych, tak zwanych *mimów*, które kwitnęły niegdyś między ludem w osadach greckich południowej Italji i Sycylji. Tło bowiem utworów Teokryta, i w tem właśnie ich wartość niepożyta, jest czysto ludowe. Podania i zabobony ludu sycylijskiego, przechowane pomiędzy nim pieśni, przysłowia i żarciki, niekiedy rubaszne, wrodzona greckiemu plemieniu czułość serca i zamiłowanie przyrody, wszystkie te rzetelne cechy ludowe, a nawet sam dyalekt sycylijskich pasterzy, szorstka i twarda mowa dorycka, zachowane w czystości, pomimo kunsztownego opracowania, stawiają Teokryta wysoko w szeregu poetów narodowych. Nie masz prawie wątpliwości że lud rozumiał Teokryta, jak niegdyś rozumiał Homera.

Wierność, prostota i świeżość obrazów natury i uczuć ludzkich, pozostają i dziś jeszcze niemal niezrównanemi. Jedyny ślad kunsztownego opracowania, zdradzającego dworaka, są rozsiane tu i owdzie pochwały Ptolemeuszów, nigdy jednak nie dochodzące do potwornych rozmiarów pochlebstw, któremi splamili się najsłynniejsi np. poeci rzymscy epoki Augusta. Ludowy koloryt najlepszych utworów Teokryta tak jest żywy i łudzący, że niektórzy uczeni, jak Greverus są tego zdania, że niektóre z tych obrazków, a mianowicie I-szy, którego przekład dajemy, są to prawdziwe pieśni ludowe, z ust pasterzy sycylijskich przez Teokryta zebrane. Prawdopodobniejszem jednak będzie przypuszczenie, że poeta miał wprawdzie pod ręką pieśni i ballady (że tak powiemy) ludowe, lecz nadał im pewną kunsztowną ogładę.

Oto np. treść wzmiankowanego obrazka (XV eidyllion) (*). Młoda niewiasta Gorgo przychodzi do swej przyjaciołki Praxinsi. Obydwie gawędzą czas jakiś, jak to zwykle kobiety, o strojach i o swoich mężach, nie bez starych jak świat skarg na tyranią małżeńską i kłopoty domowe; potem gospodyni, gderając na sługę, ubiera się i wyrusza z przyjaciołką do pałacu królewskiego, gdzie właśnie Ptolemeusz urządza uroczysty obchód święta na cześć Adonisa. Przyjaciołki przeciskają się przez tłumy, paplając i kłócąc się z potrącającymi i uciszającymi je przechodniami, podziwiają wspaniałości pałacu królewskiego, słuchają pieśni śpiewaczki na cześć Adonisa i królowej żony Ptolemeusza i zadowolnione z widowiska wracają do domu. Prawda życiowa tryska z tego obrazka, nieocenionego dla estetyka zarówno jak i dla historyka; nigdzie najmniejszej przesady: postacie obywatelek i obywateli żywo stoją przed oczami czytelnika.

Inny znowu obrazek (II eidyllion) jest monologiem zdradzonej kochanki, która używa rozmaitych czarów i zaklęć, ażeby wrócić miłość niewiernego. Odmalowana tu siła namiętności, kolejne następstwo rozmaitych uczuć i zadziwiająco wierny obraz kobiecej natury stawiają ten utwór Teokryta w rzędzie największych arcydzieł starożytności. Słynny poeta francuzki Racine powiedział niegdyś: „je n'ai rien vu de plus vif et de plus beau dans l'antiquité que la Magicienne de Théocrite.“

Po tem cośmy już powiedzieli, zbytecznem byłoby dodawać, że w tych utworach Teokryta, które mianują *bukolicznymi* to jest z życia pasterskiego wziętych, występują prawdziwi pasterze i pasterki, nie zaś sentymentalni i górnolotnie mówiący arystokraci i dworacy pod imionami Dafnisów i Tyrsysów, jak to wła-

(*) Piękny przekład tego utworu, dokonany przez Siemińskiego, drukowany był w roku zeszłym w Kronice Rodzinnej.

śnie ma miejsce u wszystkich późniejszych naśladowców Teokryta, od Biona, Moschusa i Wirgiliusza do Naruszewicza.

Naśladowcy ci przejęli właśnie tylko formę od Teokryta nie będąc w stanie dokładnie sharmonizować takowej z treścią; ich sielanki — to allegorye, kunsztownie wypracowane, często niesmaczne poemata, w których pod imionami greckich pasterzy i pasterek, nie trudno wykryć nie mających z ludem nic wspólnego panów i panie dworu Augusta, Ludwika XIV lub Poniatowskiego, którzy rzeczywiście z nudów bawili się w pasterzy, wodząc po pałacowem podwórzu czysto wymyte i uczesane baranki na różowych wstążeczkach.

Obrazek, który dla próby i na potwierdzenie tego wszystkiego, cośmy o Teokrycie powiedzieli, podajemy w przekładzie, należy do najlepszych utworów poety. Jeden z pasterzy na żądanie drugiego opiewa przechowane w podaniach ludowych Sycylji cierpienia pasterza Dafnisa. O tym Dafnisie mówiono że był synem bożka Hermesa (Merkurego) i urodził się w gaju laurowym, zkąd jego imię (*dafne* znaczy laur po grecku). Urosłszy, młodzieniec pasał trzody, grał przytem pięknie na fujarce i śpiewał cudne pieśni, które długo potem śpiewali pasterze sycylijscy. Towarzyszył on często bogini Artemidzie (Dyanie) na łowach, grywał w orszaku nimf i muz. Jedna z nimf zakochawszy się w pasterzu, zagroziła mu ślepotą, jeśli kiedy wzrok na inną dziewicę zwróci, co się nie długo sprawdziło; ślepy Dafnis w rozpaczy rzucił się w przepaść ze skały, albo też przez mściwą nimfę został w głaz obrócony. Według innego znowu podania, Hermes wziął Dafnisa żywcem w niebo, a na miejscu zkąd go porwał, wytrysło źródło, przy którem długo potem pasterze sycylijscy czcili pamięć Dafnisa. Według Teokryta, inny jeszcze był koniec Dafnisa: chełpił się on nieraz, że nie dba o miłość, czem wzbudził gniew bogini Afrodyty (Wenery), która natchnęła go miłością do pewnej dziewicy, również mu wzajemnej. Dafnis usiłował jednak pozbyć się tego uczucia, lecz łamiąc się z niem napróżno, uległ w walce i wyzionął ducha.

Tak opowiada o zgonie Dafnisa przełożony przez nas poemacik.

Pozostaje jeszcze objaśnić niektóre mniej zrozumiałe imiona własne i nazwy miejscowości, wzmiankowane w samym utworze.

Z bóstw, bez których nie mogła obejść się poezya grecka, oprócz Hermesa (Merkurego) i Afrodyty (Wenery), zwanej także Cyprydą od wyspy Cypru, gdzie głównie ją czczono, wspomniane są: Pan, bożek pasterzy, którego wystawiano zwykle z koźlemi nogami, najady, boginki rzeczne, muzy boginie natchnienia i Eros (Amor) czyli kupidyn, bożek miłości, syn Afrodyty. Hades (Pluton) bożek piekielny oznacza, jak zwykle u poetów greckich, samą krainę podziemną; miejsce pobytu zmarłych, podobnież i „Głębinie Acherontu“ — rzeki podziemnej, przez którą według mytologji, przewoziły się dusze zmarłych. Z nawpół-mitycznych istot i bohaterów wspomniani są: Adonis, młodzieniec ulubiony Afrodycie; Dyomedes, jeden z bohaterów greckich w wojnie trojańskiej, który według Iliady, ranił samą Afrodytę, gdy ta w obronie ulubionego Parysa walczyła; Anchizes, Trojańczyk, krewny Pryama, ojciec Eneasza i Arkas syn Lykaona (przemienionego w wilka) bajeczny protoplasta Arkadyjczyków.

Nazwy starożytnych miejscowości wzmiankowane w poemaciku są następujące: Lybia (starożytne miasto Afryki północnej): Kalydon miasto w Etolji (część środkowej Grecyi nad zatoką Koryncką); Penejos — rzeka w Tessalji (część północnej Grecyi, nad którą leżała słynna z piękności dolina tempejska); Pindos, pasmo gór na zachodniej granicy Tessalji; Ida, góra niedaleko starożytnej Troi; Attyka, wschodnia część środkowej Grecyi, gdzie leżały Ateny; Aigilos, okrąg Attyki, słynny figami, Lykajon i Menalos, góry w Arkadyi (środkowej części Peloponezu czyli Grecyi południowej), ulubione siedlisko Pana; Helice, wyżyna tamże i nakoniec miejscowości w Sycylji: góra Etna, wzgórze Tymbrys, źródło Aretusa i rzeczułki: Akis i Anap (*).

UROCZE OCZY.

Widziałem oczy które błyszczały
Smętnie jak gwiazdy na niebie,
To znów palące iskry rzucały,
Choć przyciągały do siebie.

Świeciły czasem tak straszną groźbą,
I wyzywały spojrzeniem,
To znów wejrzenie zdało się prośbą,
Cichą modlitwą—westchnieniem.

A gdy spoczęły tylko w przelocie
Na twojem licu choć chwilę,
W oczach tych uczuć widziałeś krocie,
Tyle odwagi—tęsknoty tyle.

I tak do siebie myśl twą przykuły,
Że myślić o nich już przestać trudno,
I w dziwne sieci serce osnuły,
Za niemi tęskno—i bez nich nudno.

Eliza R.

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

Wszystko więc szło najlepiej w najlepszym świecie. Drobiński tryumfował po cichu, doktór leczył Eligiję z zapałem serca czy nauki, kobiety były spokojne, nie płakały mu nad uszami, a Stasia z czynną energiczną i loiczną naturą swoją stała się tak użyteczną w domu, iż przy niej nie śmiał wymawiać rodzinie spożywanego chleba, tem bardziej że nie prosiła go nigdy o nic, i potrzeb albo nie miała wcale, albo umiała im zapobiegać bez niczyjej pomocy.

Pani Pelagija czuła dobrze, iż z jej łaski nie jednej domowej burzy uniknęła a pan Feliks nawet słuchał jej z jakiemś dziwnem uszanowaniem, chociaż odzywała się rzadko bardzo i to w razie wyraźnego zapytania. Zresztą nie lubiła ukazywać się w salonie unikając gości i towarzystwa starannie. Stanowiła ona żywą zagadkę dla licznego zastępu panien Drobińskich, które może nie lubiły jej, szydziły po cichu, ale w oczy uczynić tego nie śmiały. Jedna Eligija stanowiła tutaj wyjątek, pomiędzy nią a Stasią był stosunek dziwny, kochała ją ale raz dręczyła wybuchami kaprysów, smutków bez powodu i złego humoru, to znowu rzucała jej się na szyję i trzymała jak na uwięzi przy swojem łóżku bez względu żadnego na czas drogi, na noce bezsenne które w dzień powetować nie mogła.

Stasia znosiła to wszystko cierpliwie, Eligija jedna w tej rodzinie okazała jej trochę przychylności na wstępie, przyjęła jak krewnę a wdzięczne serce sieroty przylgnęło do niej od razu. Czuła przytem, jak bardzo w dziedzinie moralnej, mogła tu być użyteczną; Eligija jedna chciała ją rozumieć, z nią podzielić się mogła myślami. Wprawdzie często bardzo rozkapryszona dziewczyna przyjąć nie chciała hardych doktryn sieroty, przecież wpływ człowieka na współbliźnich jest nieobrachowany; Stasia nie traciła nadziei, że w danej chwili myśli rzucone mogły zapuścić korzenie w duchu kuzynki i wydać owoce. Może też nie rachowała na to ale z prostotą sobie właściwą szła swoją drogą, czyniła co do niej należało, nie pytając co z tego będzie.

Tymczasem w dworku Złociców, wszystko szło zwyczajnym, odwiecznym trybem: w polu praca następowała po pracy, ziarna siały się z kolei w ogródku, kwiat zakwitał po kwiatku, białe narcyzy i barwne tulipany zajęły miejsce fijołków i pierwiosnków, piwonije dostawały pąków, bzy pochylały się pod ciężarem lilijowych kiści.

Stary Złocic obchodził codzień swoje niwy po dawnemu, tylko wzrok jego sposępniał, a czoło pochylało się coraz częściej w smętnej zadumie. Ale Złocicowa ze zwyczaju chyba oglądała niegdyś ulubione kwiatki: zdawało się że domowe zatrudnienia i przyjemności straciły dla niej swój urok, chodziła jak gdyby struta, przed mężem tylko ukrywając starannie łzy co pomimowolnie cisnęły się jej do oczów. A kiedy go nie było, wytężała wzrok na drogę, którą jedynak odjechał lub śledziła przybycia poczty. Jakby nie mogła się pozbyć nadziei, że on powróci tu znowu, listów oczekiwała we dnie i w nocy.

Wieczorem kiedy dawnym obyczajem zeszli się na ganku w godzinę zachodu, najczęściej milczeli oboje spoglądając w łunę blasków, roztaczających się na niebie i na cichy widnokrąg zamknięty siniejącemi w dali borami: bo nie chcieli zasmucać się wzajem a nie mieli nic pocieszającego do powiedzenia sobie. Myśli ich były jednakie, biegły w jednym kierunku, spotykały się u jednego celu, a przecież podzielić się niemi nie mogli. Były pewne wyrazy, których oboje unikali jednozgodnie, bez żadnego innego porozumienia nad serdeczną troskliwość. Pocóż się mieli rozżalać? Ona lękała się łzami swemi zwiększyć brzemię ojcowskiego oburzenia ciążącego nad Feliksem, on nie chciał ją zasmucać surowością swoją. Ale chociaż nie mówili o synu, myśleli o nim nieustannie, z boleści troską ale i z miłością, której nic w tych dwóch sercach zachwiać nie mogło, ton był skrytą sceną ich życia, wysysająca z nich siły i zdrowie, był zawiedzioną nadzieją ich starości, palącem wspomnieniem, trwogą myśli i skrytą słodyczą, ogniwem łączącem ich z zewnętrznym światem.

Bo zresztą rzadko kiedy gość jaki zjawiał się w dworku Złociców. Jak zwykle ci co wystarczają sobie, byli oni niezrozumiali dla ludzi, szanowano ich cnoty, uznawano nieskazitelne życie, ale zbliżano do nich się niechętnie. Na każdym szczeblu towarzyskim świat nie lubi tych co się bez niego obejść umieją. A zresztą pojęcia ich i życie całe, odbiegało daleko od ogółu, stawiało ich niejako w odosobnieniu. Wrazie tylko potrzeby, waśni lub kłopotu, sąsiedzi dalsi i blizcy, zajeżdżali chętnie do dworku Złociców, pan Adam bowiem rady i pomocy jakiej tylko mógł udzielić, nie odmawiał nigdy nikomu nie oglądając się wcale na wdzięczność ludzką, nie bacząc nawet, że często spotwarzano dobre chęci jego

---

(*) Obrazek o którym mowa, w następnym pomieścimy Numerze. *Redakcya.*

Miał zasadę czynić to co do niego należało, bez względu na pobudki bliźnich.

A kiedy udało mu się rozgniewanych pogodzić, smutnych pocieszyć, lub błądzącym wskazać drogę, uśmiechał się z zadowoleniem i spoglądał za odjeżdżającemi wzrokiem miłości, chociaż wiedział z doświadczenia, iż oni najczęściej zapominali później drogi do jego dworku, i nie wypłacali mu się sercem za serce.

Złocicowa ze swojej strony była opatrznością okolicy: ona najlepiej wiedziała o każdej nędzy, o każdej chorobie, i przychodziła im z pomocą. Nadewszystko pieczołowitość jej zwracała się do sierot, do dzieci które nieraz są sierotami przy własnych rodzicach. Złocicowa miała dla nich macierzyńskie nieledwie uczucie, a przy szczupłych materyalnych środkach jakie posiadała, można było podziwiać, jak wiele rozdać potrafiła rozumną oszczędnością, wszystko dwoiło się w jej ręku, tak że zawsze znalazła sposób wspomódz prawdziwą potrzebę.

Feliks byłby tu znalazł utorowaną drogę, mógł w pokoju prowadzić dalej dzieło rodzicielskie. Złocicowie marzyli o tem kiedyś, i marzeń tych nie chcieli wspominać, ale pomimowolnie powracały one do nich w blaskach zachodu, na złocistym rydwanie obłoków wieczornych, jak widma nieubłagane.

Tak oboje dnia jednego siedzieli zatopieni w myślach na ganku, gdy dał się słyszeć turkot daleki, i niebawem lekki koczyk zaprzężony czterema dzielnemi końmi, zatrzymał się przed gankiem.

Pan Adam poszedł na spotkanie gościa, z pewnem zdziwieniem. W powozie obłożony poduszkami, siedział a raczej leżał starzec, o bladej cerze, o oczach krwią nabiegłych, znękany wiekiem czy chorobą. Z trudnością wielką, wspierając się na kiju, oczekiwał pomocy by stanąć na ziemi; nogi obrzękłe, pomimo wygodnych aksamitnych butów, wymawiały mu posłuszeństwo, dopiero wsparty na ramieniu Złocica wydostał się z powozu i chwiejącym krokiem z widocznym wysileniem wszedł na ganek. Tu zatrzymał się bo mu tchu zabrakło. Po chwili dopiero opatrzył się gdzie jest, bo w oczach jego przygasłych znać było pewne stępienie władz umysłowych, ścisnął za rękę gospodarza domu i skłonił się gospodyni która spoglądała na niego z widoczną litością.

Rzeczywiście nowo przybyły podobniejszym był do śmierci niż do życia i albo był w ostatnim peryodzie ciężkiej choroby, albo też siły życiowe wyczerpane, opuszczały go z każdą minutą. Była to już tylko ruina człowieka, ruina przykra i wstrętna. Zwisłe policzki, odęte wargi i oczy pozbawione blasku, wszystko to odejmowało jej szlachetny, ludzki charakter, zostawiając tylko ciało, będące już pastwą przedwczesnego zniszczenia. Może były chwile jeszcze, w których ta powłoka mogła się ożywić i wskazać choćby w przelotnym momencie, istotę człowieka: zapewne były przedmioty co zachowały dla niego wartość i interes, ale teraz znużony uczynionym wysileniem, okazywał tylko na twarzy fizyczną niemoc.

— Pan mnie nie poznajesz? zapytał słabym głosem gospodarza domu, na którego krzepkiem ramieniu wspierał się całym ciężarem.

— Przeciwnie, odparł pan Adam, wszak pan Salezy Drobiński.

— Tak, tak, szepnął nowo przybyły, uratowałeś mi pan życie, nie zapomniałem o tem.

Złocic zamiast odpowiedzi wprowadził go do dworku i usadowił w wygodnym fotelu. Drobiński dawał powodować sobą jakby przywykł do cudzej opieki, i potrzebował jej na każdym kroku.

— Uratowałeś mi pan życie, powtarzał, z narażeniem siebie i nie żądałeś nawet podziękowania.

Widocznie fakt ten uderzył go nadewszystko: należał zapewne do rzędu ludzi którzy nic darmo nie robią, i zapewne ludzie odpłacali mu się wzajemnością w tym względzie, więc myśl jego powracała uparcie do bezinteresownego czynu.

— Panie Drobiński, wyrzekł Złocic, nie mam żadnego prawa do pańskiej wdzięczności, to co uczyniłem uczyniłbym dla każdego, i nie wiedziałem nawet komu oddaję przysługę, której nie warto wspominać.

Ale Drobiński pokręcił głową, wlepiając wzrok bez blasku, w czerstwą i szlachetną postać właściciela dworku.

— Słyszałem ja dawno, wyrzekł po chwili, że pan jesteś zupełnie różny od innych, przecież....

Trudno mu było sformułować myśl swoją, Złocic też uprzedzając go przerwał.

— Spodziewam się że nie w celu podziękowania mi jedynie, trudziłeś się pan aż tutaj.

— Miałem tę myśl natychmiast ale choroba coraz gorsza, zresztą miałem nadzieję że mnie pan odwiedzisz, spodziewałem się codzień, wszak musiałeś odebrać moje listy.

— Listy? powtórzył Złocic zdziwiony, żadnego nie odebrałem.

Starzec poruszył się niecierpliwie w fotelu, jak gdyby te proste słowa zabolały go, zbudziły jakieś trwogi i przykre przypuszczenia.

— To dziwne, szepnął podejrzliwie, dziwne, pisałem sam, prosiłem o bytność pańską.

— Byłbym pośpieszył na pierwsze wezwanie.

— Byłbyś pan to uczynił, tak, mówiono mi o tem także, słyszałem że nigdy nie odmawiasz nikomu przysługi.

— A w czemże panu użytecznym być mogę?

Drobiński potoczył wzrokiem niespokojnym i obejrzał się za siebie, jak gdyby lękał się być podsłuchanym.

Złocic zrozumiał to, bo wyrzekł:

— Możesz pan mówić śmiało jesteśmy sami.

Pomimo tego zapewnienia, Drobiński wiedziony zapewne instynktem lub nawyknieniem ostrożności, nachylił się ku niemu, i począł cichym głosem:

— Uratowałeś mi pan życie, resztki życia, nie wiele, czuję to, choroba jest bardziej nieubłagana od losu, umrę nie długo.

Rzeczywiście patrząc na niego, niepodobna mu było zaprzeczyć.

Złocic słuchał go w milczeniu.

— Dla czego, spytał po chwili Drobiński, podnosząc głowę z żywością na jaką tylko pozwoliła mu niemoc, nie zgłosiłeś się pan sam do mnie? Jestem stary, schorowany, bezdzietny, a panu winienem wdzięczność.

— I cóż ztąd, wszystko to nie upoważniało mnie do niczego. Gdybym był odebrał pańskie listy, wówczas czułbym się w obowiązku pośpieszyć.

— Ale ja mogłem przecież panu coś zapisać.

— Z łaski Boga nie potrzebuję czyhać na niczyje dary, a do sukcesyi pańskiej nie mam żadnego prawa.

Słowa te sprawiły znowu wrażenie na Drobińskim.

— Mówiono mi że pan jesteś dumny, wyrzekł, że to co masz wystarcza ci w zupełności, jednakże od przybytku głowa nie boli.

Wyrażając się tym pospolitem przysłowiem, spoglądał z pod oka na gospodarza domu, jak gdyby był pewnym, że opór jego z łatwością przezwyciężyć potrafi.

— Mówiono panu prawdę, odparł Złocic stanowczo, całe życie starczyło mi to com zapracował, więcej ani potrzebuję, ani przyjmę.

— Jesteś pan dumny, powtarzał Drobiński, powinienem się był tego spodziewać, baronowa ostrzegała mnie.

Złocic milczał, słowa wyrzeczone przez starego bogacza, przywiodły mu na pamięć komedyę podłości ludzkiej, odgrywającą się w jego domu, o której wiedział świat cały: po chwili jednak wyrzekł:

— Czy wolno zapytać o czem to baronowa von Schmuc ostrzegała pana.

Drobiński zmieszał się zrazu mimowolnie, jak gdyby czuł nad sobą jakieś argusowe oko.

— Ostrzegała mnie, że pan nic ode mnie nie przyjmiesz, i nie będziesz chciał w niczem mieszać się do moich interesów.

— Rzeczywiście za dobre chęci pańskie tylko podziękować mogę, do interesów cudzych mieszam się o tyle tylko, o ile jestem do tego upoważniony.

— Ależ ja właśnie chciałem pana prosić, prosiłem listownie, a baronowa....

— W tym razie jak i wielu innych pani von Schmuc omyliła się w zupełności.

— Przysyłałem tu nawet barona Siegfryda, ale mówił mi że pana nie zastał.

— Nikt tu barona nie widział, a co do mnie od miesiąca wcale nie wyjeżdżałem z domu. Słyszałem jednak że pan tym ludziom zapisałeś cały majątek, z uszczerbkiem biednej rodziny.

Przygasłe oczy Drobińskiego zamigotały.

— Kto to mógł mówić, zawołał dobywając resztki sił i głosu, oni zapewne?

Złocic wzruszył ramionami.

— Powtarzam panu, odparł, że nie widziałem ich wcale.

— Przecież gdzieś pan mógł słyszyć?

— Tak twierdzi głos ogólny.

Nastała chwila ciszy.

— Ta pogłoska od nich wyjść musiała, powtarzał stary bogacz zafrasowany. Siegfryd widocznie czyha na moje mienie.

— Wszakże pan możesz rozporządzić niem według woli, według woli i sumienia, wyrzekł Złocic dobitnie.

Słowa te uczyniły pewne wrażenie na Drobińskim, uczuł w nich wyrzut jakiś, może echo własnych niepokojów ducha.

— Ja nie zapisałem im nic — nic wcale, odparł skwapliwie. Bo widzi pan, dodał po chwili nachylając się prawie do ucha gospodarza domu, znajduję że daleko bezpieczniej, by ludzie mieli interes w mojem życiu, niż śmierci.

Znaczenie tych wyrazów było tak dobitne, zdradzało takie przepaście zbrodniczych trwóg i zamysłów, że Złocic wzdrygnął się mimowolnie. Jakże drogo ten starzec opłacał dostatki swoje i pielęgnujące go ręce! Jakież piekło istnieć musiało w jego wnętrzu, skoro mogły sformułować się w to zdanie wyrzeczone spokojnie, jak gdyby aksyomat ten był naturalnym owocem doświadczenia życia.

Więc czegoż pan żądasz ode mnie, zapytał po krótkim milczeniu odsuwając się instynktownie.

Bogacz nie spostrzegł tego ruchu, a dojrzawszy nawet nie byłby zrozumiał, to co mówił i czynił, zdawało mu się rzeczą najprostszą w świecie.

— Widzi pan, wyrzekł, baronowa męczy mnie o testament.

— A pan go napisać nie chcesz?

— Jej dałbym z chęcią, dałbym wiele, ale tego jej syna Sygfryda nie lubię, a zresztą, jak to już mówiłem, trzeba się zawsze mieć na ostrożności, rozumie pan?

— Tak, rozumiem, tylko nie widzę jak w podobnem położeniu użytecznym być mogę.

— Ja sporządziłem testament, szepnął znowu zniżając głos Drobiński, bo wiecznie zdawał się lękać baronowej lub Sygfryda.

— Jest to rzecz bardzo ważna, kto jak pan posiada wielki majątek, kto ma ubogą rodzinę, powinien

bardzo być bacznym, by nikomu nie uczynić krzywdy, lub nagrodzić te które się mogło uczynić za życia.

Drobiński spuścił wzrok mimowolnie przed surowem obliczem Złocica.

— Pan masz coś na myśli? spytał bojaźliwie.

— Odpowiedź na to pytanie zostawiam pańskiemu sumieniu.

Nastało milczenie długie, gość zdawał się obliczać sam z sobą, gospodarz domu przerywać mu nie chciał.

— A ja, wyrzekł nagle Drobiński, ja chciałem majątek ten panu zapisać,

— Mnie, zawołał Złocic, a cóż powiedziałaby na to pańska ostrożność.

— To przecież nie mogło się do pana stosować.

— Dla czego?

— Bo nie ma reguły bez wyjątku, a pan do wyjątków należysz.

— Skąd jesteś pan tego pewnym?

— Wszak uratowałeś mi pan życie z narażeniem własnego, i nie zgłosiłeś się do mnie.

— Kto wie panie Drobiński, było to może czyste wyrachowanie, może chciałem właśnie żebyś mnie sam szukał.

Słowa te na chwilę zastanowiły starego bogacza, odpowiadały widać dobrze skrytym podejrzeniom których z dziwną trafnością domyślił się Złocic, ale wahanie jego trwało krótko, podniósł głowę i spotkał jasne otwarte wejrzenie gospodarza domu wlepione w siebie.

— Nie, wyrzekł, tacy ludzie jak pan, po wszystkie czasy trafiali się na świecie: nie gonicie za tem co pociąga wszystkich, nie dbacie ani o znaczenie ani o bogactwo, ja znałem już podobnych.

— Czy nie taką była synowica pańska Aniela i mąż jej Stanisław Olski.

Drobiński opuścił ręce założone, głowa zwisła mu na piersi.

— Pomarli oboje, odparł, ale dla czego pan mi o tem mówisz?

— Opiekowałeś się pan jednem i drugiem, a o ile wiem byli w nędzy.

— I cóż ztąd, szepnął bogacz z niedostrzeżonem drżeniem głosu.

— Jeźli mam być szczery, mówił dalej Złocic, to jeszcze jedna przyczyna więcej dla której nie mógłbym przyjąć żadnego zapisu od pana: majątek pański im się należał.

— Jakto, majątek swój zbudowałem własną pracą.

— Ale z jakiego początku?

Rzeczy to były tak dawne, mienie sieroce tak małe w porównaniu z dzisiejszą fortuną Drobińskiego, iż fakta te zrazu zacierane wolą, może teraz na prawdę wyszły mu z pamięci, sumienie jego zresztą spało snem sprawiedliwych lub bezmyślnych.

— Ha! wyrzekł naiwnie, kto tam dziś o tem wspomina. Oni pomarli.

— Czy nie zostawili dzieci?

— Jest córka, zgłaszała się kiedyś do mnie, dałem jej list do rodzonego wuja, ten także zrobił majątek, posełałem nawet do niej Sygfryda z wiadomością, że może do mnie przyjechać, jednak nie chciała z tego korzystać.

— Nie znam wcale córki twojej siostrzenicy panie Drobiński, ale to nie zmienia kwestyi: majątek jej powinieneś zapisać jeźli chcesz zostawić dobre wspomnienie.

Dawniej byłby się zapewnie stary bogacz oburzył na podobną mowę, teraz jednak choroba wyrobiła w niem pewne niedołęztwo, twarda nieużyta natura jego przywykła do ulegania. Jasno i dobitnie wypowiedziane zdanie Złocica, wywarło na nim wrażenie: ten człowiek którego ująć sobie nie mógł, co odrzucał bez wahania ofiarowany zapis, i stawiał mu śmiało przed oczy grzechy przeszłości i obowiązki obecnej chwili, odrazu nabrał nad nim stanowczej przewagi.

— Więc cóż ja mam uczynić, zapytał złamanym głosem.

— Przedewszystkiem w jakim zamiarze pan tu przyjechałeś?

— Chciałem naprzód złożyć podziękowanie, potem słysząc o panu chciałem się poradzić — ufałem panu, dla tego napisałem — baronowa i Sygfryd nie wypuszczali mnie z opieki, domyślałem się że listy przejęli, że boją się pańskiego wpływu, trzymali mnie jak na uwięzi pod pozorem zdrowia, zmówili się z doktorem.

— I jakżeż pan możesz pozwalać na to? Wszakże ci ludzie są zupełnie obcy.

Na bladą twarz Drobińskiego, wystąpił chorobliwy rumieniec, zmieszał się, jak gdyby czując że powiedział zbyt wiele.

— Ona dobra kobieta, pochwycił pośpiesznie, jeżeli jest co złego, to Sygfryd winien, ona sama pełna poświęcenia, pielęgnuje mnie troskliwie.

— To nie objaśnia mnie jeszcze o właściwym celu pańskiej podróży, spytał znowu Złocic, chcąc skrócić przykre tłomaczenie starca.

— Powiedziałem już, chciałem zasięgnąć rady pana i powierzyć testament, w domu kto wie coby się z nim stało.

— Więc testament już napisany.

— Nazwiska pańskiego nie wpisałem, to dziwne przychodziło mi na myśl że możesz nie przyjąć, słyszałem tyle szczególnych rzeczy o panu.

Wydobył testament, rozłożył go na stole, i zdawał się oczyma badać jeszcze gospodarza domu, czy trwa w swojej odmowie.

Złocic powstał i stanął przy nim poważny jak zawsze.

— Jeźli pan na prawdę, wyrzekł, chcesz rady mojej, jeźli chcesz spełnić uczynek sprawiedliwy i zaspokoić sumienie, wpisz tutaj imię córki Olskich.

— Daj mi pan pióro, szepnął starzec z wysileniem, uczynię jak każesz.

— Panie Drobiński nie nadużywajmy wyrazów, tu chodzi o twoją nie o moją wolę.

— Mniejsza o słowo, uczyniłem jak należy, odparł starzec który zmęczony kilku napisanemi słowami, upadł w tył na poduszki fotelu.

Nastała chwila ciszy, Złocic stojąc przy gościu swoim, przebiegał oczyma testament, chcąc się upewnić o ważności jego.

— Uczyniłem, mówił znowu Drobiński, mały legat na korzyść baronowej dożywotnią pensyjkę, inaczej Sygfryd wszystkoby jej stracił, i niektóre zapisy.

— Czy nie masz pan innych krewnych o których byś chciał pamiętać.

— Nie, nie, oni rachowali na moją sukcesyę, ucieszyliby się ze śmierci, tak jak mi pan poradziłeś będzie najlepiej. A co do reszty bądź pan spokojny, znam dobrze prawo, sporządziłem wszystko jak należy, nie będą mieli do czego się przyczepić bo i o tem myślałem, chociażem stary i niedołężny, wiem dobrze co o kim trzymać. Pan będziesz wykonawcą tego testamentu, wyszczególniłem wszystko cokolwiek posiadam, po mojej śmierci wszystko znaleść się powinno, tylko trzeba bez zwłoki przyłożyć pieczęcie. Czuwaj pan nad tem — gdybym się czuł gorzej dałbym znać—ale to próżno, nie dopuszczą — wszak listy moje nie doszły.

Tu znowu Złocic chciał zwrócić jego uwagę, że w domu własnym panem być może, iż mógłby znaleść inną pieczołowitość niż Schmuców, których zdawał się tak bardzo lękać, ale przypomniał sobie pomieszanie starca gdy mu to napomknął i milczał.

Drobiński z głową wspartą o poręcz fotelu, zdawał się odpoczywać po tej długiej mowie, aż wreszcie przekonawszy się że gospodarz domu testament jego zamknął w staroświeckiem biórku, zaczął zabierać się do odjazdu.

— To być nie może, zawołał Złocic, noc chłodna, pan jesteś cierpiący, potrzebujesz wypoczynku, konie oddawna kazałem wziąść do stajni, a żona moja pokój przygotowała.

— Jestem zmęczony, prawda, ale jechać muszę, mówił niespokojnie Drobiński, baronowa strzeże mnie i pilnuje—przez troskliwość zapewne — wymknąłem się ukradkiem. Wczoraj zapytałem doktora czy mogę wyjeżdżać, zawahał się i spojrzał na Sygfryda, a ten zrobił mu znak przeczący, więc dzisiaj udałem że chcę spać, postawili lokaja w przedpokoju, żeby im dał wiedzieć kiedy się obudzę, a ja tymczasem wymknąłem się przez ogród i kazałem zaprządz.

Opowiadał to jak student co spłatał figla nauczycielowi.

— I chcesz pan powracać śpiesznie pod tę ścisłą straż, zapytał Złocic.

— Widać pani baronowa czyni to przez troskliwość, wiem o tem.

— Ależ takie postępowanie jest niegodne, ci ludzie mogą się posunąć do ostateczności.

— Nie mają żadnego interesu w mojej śmierci, a za życia spodziewają się zapisu, nie mam się więc czego lękać.

— Możebyś pan napisał do kogo z krewnych by przyjechał?

— Nie, nie, zawołał pospiesznie, nie lubię ich wszystkich, nie chcę widzieć, czy sądzisz pan może, iż oni postępowaliby inaczéj? A potem ja baronowę lubię, znamy się od dawna, nie chcę jej robić przykrości i mieć na ostatek niepokój w domu. Tylko dodał z pewnem zakłopotaniem, zajedź pan do mnie kiedy—tak niby przypadkiem—będę wdzięczny.

Złocic obiecał że zadosyć uczyni jego woli, i wyszedł na naleganie gościa by kazać mu konie zaprzęgać.

Tymczasem noc zapadła zupełna i tylko księżyc świecąc na wiosennem niebie, rzucał blade odblaski na ziemię.

Niedaleko jednak od dworku na drodze coś czerniło się, widać było konie i ludzi stojących, jakby naradzali się co uczynić. Złocic wydawszy rozkazy stangretowi Drobińskiego zatrzymał się u wrót swoich gdy niebawem od ciemnej grupy z gościńca oderwała się ciemna postać, i zdążała ku niemu.

— Czy nie tu, zapytał szorstkim głosem, mieszka stary Złocic?

— Dworek ten należy do Złocica, odparł zagadniony, spoglądając bacznie na przybyłego, bo mógł teraz rozpoznać go dokładnie.

Był to młody człowiek nadętej i nieprzyjemnej twarzy, harmonizującej doskonale z głosem i obejściem, zdradzającej jakieś nieokreślone pretensye: ubrany był z tą niesmaczną przesadą, w której odrazu można rozpoznać brak przyzwyczajenia. Widocznie wszystko co posiadał, zacząwszy od eleganckiej bonżurki a skończywszy na zegarku, było dla niego nowością, dla tego że zdawało mu się zapewne, i że przedmioty te nadają mu wyższość i prawo pogardy dla bliźnich. Miał bowiem tę imponującą minkę, jaką przybierają czasami lokaje arystokratycznych domów, względem ubogich śmiertelników: przemawiał z góry do Złocica, bo jego szara kapota i grube buty, nie zdawały mu się wcale dorównywać lakierkom i zręcznemu garniturowi jaki miał na so-

bie. Człowiek zaś mierzył się u niego jedynie ubraniem i powierzchownością.

— A czy nie wiesz, pytał dalej, zachęcony odpowiedzią odebraną, czy nie przyjechał tu przypadkiem mój przyjaciel jaśnie wielmożny Salezy Drobiński? Po tych kilku słowach, Złocic przeczuł a raczej domyślił się barona Sygfryd von Schmuc, zwrócił się więc ku niemu, i zmierzył go od stóp do głowy pogardliwym wzrokiem.

— Zdaje mi się, wyrzekł, że ani pan Drobiński ani ja gospodarz tego domu, nie mamy żadnej przyczyny tłomaczyć się z naszych czynności przed nikim.

W jednej chwili Sygfryd postrzegłszy swoją omyłkę, przerzucił się z jednej ostateczności w drugą.

— Więc mam szczęście, zawołał, zdejmując pośpiesznie kapelusz, widzieć samego pana Złocica.

— Tak jest, starego Złocica, odrzekł gospodarz domu, przyjmując z jednakim chłodem oznaki uszanowania, jak niegrzeczne odezwy młodego człowieka, i nie prosząc go wcale by przekroczył próg jego domu, czegóż pan żądasz? zapytał.

On jednak wcale nie zbity z tropu, tem zimnem obejściem, kłaniał się jeszcze niżej, mówiąc:

— Jestem baron von Schmuc, przyjechałem tu razem z moją matką wiedziony niepokojem o zdrowie krewnego i przyjaciela, który wyjechał wbrew zakazom lekarza z zamiarem udania się tutaj.

— Możesz pan uspokoić siebie i swoją matkę, pan Drobiński rzeczywiście znajduje się u mnie.

Odpowiedź ta niezupełnie zadowolniła młodego barona, był on widocznie w chęci dowiedzenia się czegoś więcej, i chciał doczekać się zaproszenia ze strony Złocica, bo wyrzekł wskazując na konie i ludzi stojących na drodze?

— Tam jest moja matka.

— Matka pana trudziła się niepotrzebnie, tak samo jak i pan Drobiński, gdybym był odebrał listowne wezwanie jego, byłbym do niego natychmiast pośpieszył.

Słowa te wymówione z widocznem naciskiem, nie zrobiły żadnego wrażenia na Sygfrydzie, wysłuchał ich obojętnie, ze złośliwym wyrazem właściwym jego twarzy, chociaż starał się ukrywać go zazwyczaj pod obłudnym uśmiechem. Uznał jednak za stosowne zmienić ten drażliwy przedmiot rozmowy, i wyrzekł przybierając ton inny:

— Czy mogę zapytać jak długo tu jeszcze pan Drobiński zabawi?

— To będzie od niego zależyć, odparł Złocic, ale przypominasz mi pan że mam gościa, więc żegnam.

W ten sposób odprawiony Sygfryd, rzucił ponure spojrzenie, pełne jadowitego gniewu na dworek, którego okna zapalały się wieczornem światłem. Nie mógł przecież dojrzeć co się działo wewnątrz, bo story szczelnie zapuszczone, nie dopuszczały ciekawego oka. Obchodził go przez chwilę, mrucząc gniewne wyrazy przeciw dumie starca, co zaledwie raczył mu głową skinąć. Nie bardzo mu też było pilno uspokoić matkę, bo dopiero przekonawszy się, iż nic tu więcej nie zbuduje, gdyż od folwarcznego dziedzińca, gdzie chciał zajrzeć, odstraszyło go szczekanie wiernego stróża brytana, zwrócił się na drogę.

Tam w lekkim kabryolecie, który na prędce zaprządz sobie kazała, siedziała niecierpliwa baronowa. Przy łaskawem pół świetle wieczoru wyglądała ona bardzo pokaźnie zważywszy szczególniej, iż była matką dorosłego syna: można było prawdziwie podziwiać naturę czy sztukę, co zachowała jej tyle jeszcze wdzięków.

Kibić jej wprawdzie nabyła zbytniej okrągłości ale gorset umiejętnie stosunkował nadmiar wdzięków utrzymując je w karbach właściwych, a białe ramiona pod zasłoną wiotkich muślinów, wyglądały bardzo ponętnie. Zresztą oczy nieco przygasłe, nabierały szczególnego blasku od kosmetyków któremi były podmalowane: usta pod koralową pomadą nie straciły nic z pierwszej barwy, a cera pod grubą warstwą blanszu i różu, przypominała aż do złudzenia (przynajmniej zdaleka) świeżość pierwszej młodości, przytem białe ząbki nabyte u pierwszego dentysty, i włosy u najlepszego fryzyera, dopełniały doskonale wdzięków baronowej.

(d. c. n.)

Pogadanka naukowa.

ELEKTRYCZNOŚĆ I ŻYCIE

(według Ferdynanda Papillon).

Jeszcze w r. 1789 Aloizy Galvani, sławny lekarz i profesor anatomji w Bononji, odkrył przypadkowym sposobem że mięśnie zwierząt ściągają się za dotknięciem pewnych metali. Zapalony badacz i obdarzony rzadką bystrością umysłu, zaczął czynić liczne doświadczenia, które wprowadziły go na myśl, że zjawisko to wywięzuje się skutkiem działania elektryczności właściwej zwierzętom. Utworzył więc sobie teoryę o istnieniu osobnego płynu nerwowego, czyli że w nerwach zwierząt i ludzi znajduje się szczególniejsza istota elektrycznej podobna, która po złączeniu jej z mięśniem za pomocą metalowego przewodnika, porusza się i krąży w ten sposób, że w chwili kurczenia się uda, płynie z nerwu do mięśni przez łącznik metalowy i znowu z mięśni do nerwu powraca. Doświadczenia te robił na żabach. Ten mniemany nowy płyn nazwano płynem galwanicznym, od nazwiska wynalazcy.

Odgłos odkryć Galvani'ego prędko doszedł do Niemiec, Francyi i Anglji, i rozmaici uczeni zaczęli powtarzać i różnie uzupełniać jego doświadczenia. Już samo zjawisko wprawiało w zdumienie, a nadzieja wynalezienia w ciałach organicznych jakiegoś nieznanego płynu życia, niewysłowionego badaczom dodawała bodźca. Wielu uczonych fizyków i fizyologów, przyjęli odrazu teoryę Galvani'ego, i nadano jej nazwę *Elektryczności zwierzęcej*, lecz pojawili się także liczni jej przeciwnicy, a na ich czele stanął sławny Aleksander Volta, profesor fizyki w Padwie. Wbrew Galvani'emu dowodził on, że elektryczność wywołująca ściąganie się mięśni, nie rozwija się ani w nerwach ani w mięśniach, lecz w skutek zetknięcia różnorodnych metali. Na udowodnienie twierdzenia swego, w 1800 r. zbudował stos po dziś dzień jego noszący nazwisko, to jest przyrząd w którym połączenie dwóch różnorodnych metali staje się obfitem źródłem płynu elektrycznego.

Obaj przeciwnicy, Galvani i Volta, byli znani powszechnie za ludzi wielkiej i gruntownej nauki, wiadomo było że oba znali dokładnie fizykę i fizyologję, nie można więc było przypuszczać aby nie mieli słusznych zasad obstawania przy swoich twierdzeniach. To też odkrycia ich dały pochop do niezliczonych badań i doświadczeń po dziś dzień trwających, a które przed parą dopiero laty wykazały że oba mieli słuszność.

Najnowsze badania dowiodły, że rzeczywiście istnieje elektryczność właściwa zwierzętom, jak to utrzymywał Galvani, jakoteż i Volta nie mylił się dowodząc: że elektryczność wywołana przez przyczyny zewnętrzne, wywiera wpływ na zwierzęta. Głębokie zbadanie tego podwójnego szeregu zjawisk, podało nauce środki zastosowania elektryczności dla leczenia wielu chorób. Sprobujemy wykazać tu pokrótce stosunki elektryczności z życiem, i dla tego zajmiemy się najpierw elektrycznością która z natury istnieje u zwierząt, a następnie przedstawimy działanie płynu tego na organizm, czy to w stanie zdrowia czy w stanie chorobliwym.

Przez *elektryczność zwierzęcą* rozumieją się zjawiska elektryczne, które już to towarzyszą innym objawom żywotnym w ciele człowieka i zwierząt, już to mogą być wywołane samodzielnie z pomocą osobnych narządów, wyłącznie do tego celu służących. Najniezbitszymi świadkami istnienia elektryczności zwierzęcej, są bezzaprzecznie ryby. Drętwy, mruki, sumy europejskie i znajdujące się w wodach Nilu, raje, oraz trzęsawiec czyli nagogrzbiet, rozwijają odrazu, jak się zdaje dowolnie, większą lub mniejszą ilość elektryczności. Narządy jakiemi ryby te są opatrzone w różnych częściach ciała, mają niejakie podobieństwo do stosu Volty; z ich pomocą mogą one dobrowolnie lub też za dotknięciem, wymierzać uderzenia i sprawiać wstrząśnienia zupełnie podobne do uderzeń elektrycznych. Przewodniki metaliczne zetknięte z ciałem tych ryb, przewodzą ich elektryczność zupełnie tak samo jak przewodniki w przyrządach elektrycznych; nieprzewodniki zaś tak samo ją przerywają. Jeźli u drętwy lub trzęsawca wywoła się uderzenie za pomocą przerwanego ogniwa metalowego, można tym sposobem otrzymać nawet iskrę elektryczną.

Narządy elektryczne mieszczą się zazwyczaj u ryb w okolicy głowy, ale niekiedy i przy ogonie. Najgodniejsze jest uwagi, że uderzenia elektryczne ryby te sprawiać mogą dowolnie, a nawet zjawiska dostrzegane na zetkniętych z niemi przewodnikach, o tyle się objawiają, o ile ryba dobrowolnie wyładowuje wtedy swoją elektryczność. Nawet w razie dotknięcia dwóch przeciwnych biegunów, często skutek nie następuje, kiedy przeciwnie jeśli zaczniemy drażnić rybę, za każdem tego powtórzeniem nastąpi uderzenie. Mogłoby to jednak dziać się tym sposobem, w jaki skutkiem drażnienia skóry, powstają niekiedy u zwierząt ruchy mimowolne, — w takim razie dowolność ich byłaby tylko pozorną. Zawsze jednak dowodzi to ścisłego stosunku, w jakim zjawiska elektryczne u ryb, zostają z układem nerwowym.

Ryby te są jedynemi zwierzętami opatrzonemi narządem przeznaczonym wyłącznie do rozwijania elektryczności, — lecz wszystkie zwierzęta są elektryczne z tego względu, że nieustannie we wnętrzu ich organów wytwarza się pewna ilość płynu. Istnienie elektryczności właściwej mięśniom i nerwom, i niezależnej od ich charakterystycznej działalności, stwierdzone zostało licznemi doświadczeniami uczonych, a szczególniej pp. Nobili, Matteucci i Dubois-Reymond. Chcąc przekonać się o istnieniu prądów elektrycznych nerwowych, dość jest przyrządzić muskuł żaby i dotknąć go w dwóch różnych punktach kończnymi nerwu tejże żaby; muskuł zacznie się ściągać pod wpływem nerwowego strumienia elektrycznego. Równie łatwem doświadczeniem można stwierdzić istnienie prądu mięśniowego.

Na zwierzęciu żywem lub świeżo zabitem odkrywa się muskuł i nacina go się prostopadle w kierunku fibr mięsistych: następnie dotyka się jednocześnie tak powierzchni naturalnej jakoteż wytworzonej przez nacięcie, dwoma drutami bardzo czułego galwanoskopu; wtedy igła przyrządu wykazuje przejście prądu. Taka elektryczność mięśni może być otrzymana w dość znacznej ilości przez położenie jednych na drugich, w kształcie stosu, pewnej liczby kawałków mięśni; dodatnim biegunem systemu będzie naturalna powierzchnia jednego z kawałków końcowych, a biegunem odjemnym powierzchnia przecięcia drugiego. Taki system oddziaływa na przyrządy galwanosko-

powe i może nawet pobudzić skurczenia w innych mięśniach.

Niezależnie od tych strumieni elektrycznych nerwowych i mięśniowych, istnieją jeszcze w układzie zwierzęcym inne źródła płynu. Wywiązują się strumienie między zewnętrzną a wewnętrzną stroną skóry, we krwi, w przyrządach wydzielających, słowem w całym niemal organizmie. Uczony p. Becquerel odbywa od lat kilku nader ciekawe pod tym względem doświadczenia, i za pomocą tych prądów tłomaczy wiele zjawisk fizyologicznych nie dość jeszcze zbadanych. Jeśli z jednej strony nie można zaprzeczyć rzeczywistości takiego działania, z drugiej przyznać trzeba że ogólna doktryna łącząca je jedne z drugiemi a wszystkie razem z różnemi czynnościami organizmu, nie jest jeszcze dość dokładnie określoną. Trzebaby koniecznie wiedzieć jak prądy te rozdzielają się i rozchodzą i jakie przebiegają drogi. Fizyologija doświadczalna powinnaby zająć się zbadaniem tych trudnych zadań, których rozwiązanie koniecznie jest potrzebne do dokładnego poznania wszelkich działań żywotnych i zboczeń ruchu organicznego.

Pouillet sprawdził stanowczo że i rośliny rozwijają elektryczność; inni fizycy a mianowicie Becquerel, wykazali istnienie prądów w owocach, w łodygach, w korzeniach i liściach roślin. W tym celu Becquerel wziął jędrną i świeżą gałązkę topoli, jeden drucik platynowy przeciągnął przez rdzeń a drugi przez korę, i przeprowadził oba te przewodniki do galwanoskopu; igiełka wykazała natychmiast przejście strumienia. Buff świeżo robił doświadczenia przy których unikał starannie uszkodzenia organów. W dno naczynia zawierającego merkuryusz wkładał druty platynowe; na merkuryusz nalewał wodę w której zanurzone były rośliny, jakich stan elektryczny zbadać postanowił. Przekonał się że w liściach i korzeniach prąd przechodzi przez roślinę od korzeni do liści; w gałązce odłączonej od łodygi prąd także biegł ku liściom. Tak więc istnienie elektryczności żywotnej nie ulega zaprzeczeniu, chociaż nie poznano jeszcze dokładnie warunków tych wzburzeń wewnętrznych, i jaki jest rzeczywisty ich stosunek z ogółem czynności fizyko-chemicznych żyjącego organizmu.

W każdej istocie organicznej, w każdym z nas mieści się niezliczona ilość przeróżnych działalności; siły przenikające nas są tak rozliczne jak materye z jakich jesteśmy ulepieni. W każdej chwili naszego istnienia i w każdej części i punkcie naszego ciała, spotykają się i łączą wszelkie siły przyrody; ale w szeregu tych zadziwiających, cudownych działań taki panuje porządek, iż zamiast niepojętego zamieszania, harmonijna zgodność cechuje istoty obdarzone życiem. Wszystko w nich równoważy się i odpowiada sobie.

Wykazawszy że ciała żyjące są same w sobie źródłami płynu elektrycznego, zbadamy jeszcze naturę skutków jakie elektryczność może wywierać pod różnemi postaciami na organizm zwierzęcy. W atmosferze znajduje się zmienna ilość elektryczności dodatniej; ziemia jest zawsze naładowana elektrycznością odjemną. Nie wiadomo jeszcze dokładnie jak się rozwija ta siła utajona, rozlana w całej przyrodzie. Fizycy mniemają że pochodzi od roślinności i parowania wód; p. Becquerel przedstawił nie dawno cały szereg przyczyn, mniej więcej prawdopodobnych, według których wnośiby należało że największa ilość elektryczności atmosferycznej pochodzi od słońca, którą ono jednocześnie ze światłem ma roztaczać w przestrzeni. Jakkolwiek bądź, dopokąd niebo jest pogodne, płyn ten nie wywiera żadnego wyraźnego wpływu na istoty żyjące; lecz podczas burzy powstałej z powodu nagromadzenia chmur, okazują się skutki przekonywające niezaprzeczenie o wpływie elektryczności na życie.

Osoby zabite od pioruna najrozmaitsze przedstawiają zjawiska. Już to padają trupem na miejscu w siedzącej lub stojącej postawie, już znów piorun odrzuca je daleko. Czasami piorun rozbiera swoje ofiary, niszczy odzież nie naruszając ciała, czasami działa wprost przeciwnie. Niekiedy piorun straszne szerzy zniszczenie; rozdziera serce i miażdży kości, w innych razach nie narusza organów. To znowu objawia się rozmiękczenie członków i kości oraz naruszenie płuc, lub też skurczenie i zesztywnienie. Czasami ciało zabitego od piorunu nadzwyczaj prędko podlega rozkładowi, w innych razach opiera mu się bardzo długo. Nareszcie piorun łamie drzewa i obala mury a jednak nadzwyczaj rzadko się zdarza, aby rozczłonkował zwierzę. Jeśli nie zawsze powoduje śmierć to zawszę prawie bardzo niebezpieczne następstwa, niekiedy czasowe, niekiedy nieuleczone. Oprócz poparzeń i znaków jakie piorun pozostawia na ciele ugodzonych nim osób, doznają one jeszcze nadzwyczaj dziwnego uczucia, jak gdyby po całym ciele ktoś wyrywał im włosy, a niekiedy znowu zostają sparaliżowane, tracą mowę, słuch, wzrok lub niedołężnieją nagle. Słowem działanie elektryczności oddziaływa zgubnie na wszelkie funkcye systemu nerwowego.

Można porównać z piorunem działanie ryb elektrycznych, jako także zupełnie od nas niezależne. Jakże to nadzwyczaj silne są uderzenia strętwy! Aleksander Humboldt opowiada iż gdy raz obu nogami stanął na strętwie wyciągniętej z wody, uczuł tak gwałtowne wstrząśnienie iż przez cały ten dzień miał potem mocne boleści we wszystkich stawach. Wstrząśnienia te mogą zabić najsilniejsze zwierzę, i dla tego należy unikać rzek w których ryby te się znajdują, gdyż jeśli kto chce przebyć je wpław na koniach czy mułach, mogą one paść nieżywe od uderzeń elektrycznych.

Chcąc łowić te ryby, Indyanie puszczają do wody dzikie konie, gdyż stąpanie ich wywołuje je z głębi. Strętwy, jest to rodzaj żółtawo-sinych węgorzy; gdy konie zaczną dreptać po wodzie, rzucają się na ich brzuchy, obalają niemal wszystkie a niektóre pozbawiają życia; lecz wysilenie to wyczerpuje ryby i wtedy łatwo je chwytać za pomocą haka. Dzicy używają tych ryb jako lekarstwo dla dotkniętych paraliżem.

Dotknąwszy ręką wydobytego z wody drętwika, doznaje się tem silniejszego uderzenia im większą jest powierzchnia zetknięcia. Oprócz silnego wstrząśnienia dochodzącego aż do łopatki, daje się po niem uczuć jakaś bardzo niemiła ociężałość i odrętwienie, którego doznać może choćby dwadzieścia osób trzymających się za ręce, jeźli pierwsza dotknie grzbietu a ostatnia brzuśca drętwika. Woda dobrze przeprowadza elektryczności, i dla tego ryba ta w wodzie zabija lub wprawia w odrętwienie zwierzęta któremi się żywi.

Któż nie wie że nie same tylko burze i ryby są źródłem elektryczności: maszyny do tarcia, stosy i przyrządy indukcyjne, wytwarzają trzy rodzaje strumieni działających na funkcye żywotne, niekiedy jednakiemi, często bardzo odmiennemi sposobami. W ostatnich zaledwie czasach nauka zdołała wykazać, stanowczą tę różnorodność ich działania. Działanie elektryczności statycznej i elektryczności indukcyjnej, prędsze i gwałtowniejsze, odznacza się szczególniej tak uderzającemi skutkami mechanicznemi, że długo nie dozwalały dostrzegaczom śledzić dość bacznie innego szeregu skutków, jakie wytwarza strumień stosu. A jednak ten ostatni oddziaływa rzeczywiście daleko silniej na tkanki zwierzęce, a zjawiska nim wywołane zasługują na najgłębszą uwagę, tak pod względem teoryj jak i zastosowań.

Elektryczność oddziaływa także na cały ustrój czynności odżywiających. Zwierzęta elektryzowane w pewnych warunkach wydychają daleko większą ilość kwasu węglowego, co jest oznaką silniejszej działalności żywotnej. Aby wykazać do jakiego stopnia zjawiska żywotne podbudzone są przez elektryczność, przytoczemy doświadczenie dokonane przez pp. Robin i Légros na wymoczkach (noctytuques). Są to zwierzątka mikroskopijne; jeśli wielka ich ilość znajduje się w wodzie morskiej, nadają jej prawie białość mleka a nawet w pewnych chwilach mocne błyszczenie. Dość jest skierować strumień do naczynia napełnionego taką wodą a na całym jej przebiegu okaże się smuga światła. Elektryczność pobudza fosforescencyę wszelkich wymoczków, napotkanych w jej przejściu między dwoma biegunami.

Strumienie przerwane czyli indukcyjne ściągają naczynia krwionośne i we wszystkich niemal wypadkach zwalniają krążenie krwi, kiedy przeciwnie strumienie stałe przyśpieszają w ogóle cyrkulacyę i sprawiają rozszerzenie naczyń, jak to stwierdziły mikroskopowe doświadczenia pp. Robin i Hiffelsheim.

(d. n).

OBRAZY

na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

W WARSZAWIE.

Po jesieni następuje mroźna „*Noc zimowa.*“ Niebo się iskrzy tysiącami gwiazd, śląc modry odblask ziemi śnieżną płachtą spowitej. Parę drzew suchych czernieje na polu, środkiem mkną sanki po głębokim torze.

Konie rwą z kopyta, śpiesząc ku domowi, a dom ten nie za górami. Jeden z podróżnych wskazuje ręką błyskające w cieniach światełka, więc dalej! gdzie dach i spoczynek. Za pierwszemi sankami suną jeszcze drugie. Na niskich płozach garstką siana przyrzuconych, leży skostniały wieśniak z załamanemi na piersiach rękami. Koń puszczony samopas dąży w ślad toru, ale czy człowiek ów zmarzł lub śpi tylko, trudno zrozumieć z treści obrazu.

Wiejska droga w nocy M. Gierymskiego. I tu na czystem niebie mrugają gwiazdki drżące, ale po ziemi ścielą się drzew cienie i śni w przestrzeniach cichy powiew lata. W mroku świecą okienka wiejskich chat bielonych, między ciemną zielenią grusz i żywopłotów. Spokój zawisł nad bożą strudzoną gromadką, mąci go tylko odgłos toczącego się zwolna wózka, na którym drzemie siedzący podróżny. Darmo Bryś srogi wypada na drogę; on jedzie dalej kiwając się błogo. W głębi nikną postacie wracających do chaty włościan. Szczęśliwy kogo w progu głos radosny wita i jasny płomień własnego ogniska. Pomysł się łączy z prawdą wykonania, podnosząc świetnie uznany talent artysty.

Zachód słońca — krajobraz F. Brzozowskiego, gasnąc rozwidnia świat wschodzących wspomnień.

Na kamienistych wzgórzach, po nad łomami wielkich omszonych brył, gdzie nie gdzie posępne sosny. Przez zapadłą pośród tych wzgórz wązką dolinę, widać w mgle sinej niknące miasto; bliżej z rozdołów rozdartej wyżyny wyrasta góra w starych ruin wianku.

Słońce w dal płynie po czystych błękitach, osnute rąbkiem białawych obłoczków, głos ziemi kona.... i tylko gmach siwy zdaje się dumać na zgliszczach pamiątek.

Lecz nagle żywa jasność bije z góry; słońce rzuciło snop jasnych promieni, i trup drgnął życiem: przez okna baszt starych tryska blask, świecąc niby

ócz spojrzenia. Moc ich wnet całą ogarnia dolinę; mienią się niemi wody rozzłocone, aż jeleń pijąc stanął zdziwiony i patrzy bystro w świetlane przestrzenie.

Chwilkę!... tam chmura dąży od zachodu; słońce nas żegna unosząc dar życia, i senne mary zstępują do grobu. Cisza... wspomnienia wrócą znów o wschodzie.

Krajobraz ten złożony z blasków i spokoju. Śliczny!

Wiatr biednemu zawsze w oczy — J. Szermentowskiego, przedstawia łaski i niełaski losu.

Wiatr nie dla wszystkich jednakowo wieje, dowodem wychodzący z furty kościelnego ogrodzenia duchowny. Otulony zwojami szerokiego płaszcza, nasunął mocno kapelusz na oczy. Pod płaszczem niesie puszkę z wiatykiem, więc mu dziad siwy przyświeca z pokorą, zstępując zwolna z oślizłych wschodków. Przed furtą stoi skromny wózek wiejski, i jak się zdaje od niemałej chwili, bo przeziębły włościanin zszedłszy z koziołka, szuka uchrony przed wichrem i słotą. Oparty o tył wózka przymrużył oczy z wielce mrukliwą i posępną miną. Jedna ręka skryła się kurcząc za sukmaną, druga opadła dzierżąc bicz obwisły. Nic nie pomoże! deszcz tnie aż miło! a zimny wicher pędzi go ukosem. Koń czeka także, smutnie zadumany nad garstką zmokłego siana. Od wioski idzie uboga kobieta, szamocząc się z pędem burzy. Najbiedniejsza ze wszystkich.

Nauka Geografji—drugi obraz pana Szermentowskiego, przenosi nas w kraj pogodny.

Młoda matka co tam z dziatkami w jasnym pokoiku usiadła, nie myśli o wichrach i słocie. Jej wiatr niedoli nie wiał jeszcze w oczy, i tchnieniem burz nie powieje. Kto wie?... Pogoda bywa czasem zmienną, lecz na co przedwczesne troski. Tutaj tak cicho, ciepło i wygodnie! Jak miło w swym kątku własnym! Dach dziś i jutro nad spokojną głową, brzmią śmiechy i szczebiot dzieci; to całe szczęście kochającej matki.

Przyszłość drobnych istotek zajmuje ją mocno. Chciałaby zmienić je w ósmy cud świata. Gdybyż doczekać kiedy tej pociechy!

Młoda matka wróciła zapewne z ogrodu, który widzimy przez drzwi w głębi otwarte, i posadziwszy w krześle małą dziecinę, uczy cierpliwie starszego synka. Palec jej zwolna suwa się po karcie, wskazując kraje, pasma gór i miasta, a uczeń słucha ze strasznliwą powagą, bo jest już bardzo a bardzo rozumny! Wsparty ramieniem na kolanach matki, lewą dłoń złożył na cienkiej szabelce. Może to przyszły zdobywca? Zwodne, o zwodne są nieraz marzenia matek.

Pies siedzący opodal zamyślił się wielce, rozważając zapewne te rzeczy i owe. Tylko dziecina bawi się swobodnie wpatrzona w chyże skrzydełka wiatraczka. Dla niej ta dzisiaj najważniejsza sprawa. Sąż więcej warte inne gdy bez celu?

Bez jutra!... straszna to ludzka dola, równie jak cel chybiony. Pan Streitt złagodził przyostre zarysy, z wielkiem uczuciem i prawdą.

Bez jutra!... okrzyk złowieszczy dla matek, nie razi ucha cyganki. Dziecię błędnego ludu nie lęka się nędzy, nie drży od zimna ni głodu. Dziś... jutro.... jednem brzmią dla niej echem. Dzień każdy jest dniem swobody! Aza nie dba o jutro! Silna i wesoła przebiega świat chyżą stopą. Jej dom—to ustroń cygańskiej szatry, świecznikiem ognie niebieskich gwiazd, pieśnią huk gromu, ucztą chleb czarny, napojem woda kryniczna.

Na strój nie miała i nie ma czasu, w wędrówce przez gąszcz i jary. Wicher ją czesze; myje zimna rosa, płachta osłania hartowne ciało. Oczy jej płoną, śmieją się usta.... Bez jutra!.. Odbiegła w świat! Artysta inną przedstawia nam Azę.

Ruchliwe plemię, znużone pochodem, szuka niekiedy krótkiego wytchnienia, i dłoń próżniacza chwyta młot ciężki, bijąc zawzięcie w twarde kowadło. Objawy lepszych dążeń są zbyt nietrwałe. Zebrawszy trochę grosza cygan zwija szatrę przenosząc się wraz z gromadą. Bogaty Dżenga ma konia i wózek, a kaftan zdobi srebrnemi guzy. Żona jego wygląda także nie ostatnio: strojna w cekiny i barwną szatę. Taką widzimy w obrazku: „Bez jutra."

Matka siadłszy na wzgórku piastuje swe dziecię, co rączką sięga ku jej warkoczom. Wzrok malca wabią wplecione pieniążki, lecz grabież się nie udá. Aza wstrzymuje drobną dłoń dziecięcia, patrząc nań ze słodkim uśmiechem. Niżej, na ziemi śpi starszy cyganik, śniąc może o nowych drogach; tymczasem kruk na długim sznurku uwiązany, knuje snać zdradne zamysły. Czarny ptak, cygan skrzydlatego rodu, zerwie się rychło do lotu, a błędne Azy pójdą w świat szeroki, bez troski o dziś i jutro!

Obrazy pana Streitta przemawiają same. Ocena dostateczna.

Drugi utwór pełnego talentu malarza ma więcej jeszcze uroku.

Wązką, przez łąki idącą drożyną, młoda wieśniaczka posuwa przed sobą kwieciem i trawą wysłane taczki, na których siedzi maleńki gagatek.

Śliczne dzieciątko w śnieżnej koszulce, uśmiecha się radośnie, a matka tonie wzrokiem w swej pieszczotce, wdzięcznej ponad wdzięcznemi. Starsza dziewczynka objęła siostrzyczkę słoniąc ją tkliwą opieką, a brat z grabiami stąpa ochoczo, dumny tryumfem gagatka.

Tło nieba zwolna zachodzi zmierzchem. Ku scenie patrzą zdala bociany. Serdeczny to obrazek!

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Ruszty do smażenia i pieczenia mięsa.

Kwadratowa patelka z grubej blachy angielskiej, ma głębokie bardzo brzegi, a spód cały w karby pół okrągłe i nieco ażurowe; z jednego boku ma długą rączkę, z drugiego zaś przytwierdzony czerpaczek, w który pozostałe w czasie smażenia tłuszcz lub masło na patelce, można z łatwością zebrać przechyliwszy ją nieco. Patelka ta czyli ruszt jest na małych mocnych nóżkach, które dynarek niepotrzebnym czynią, jeżeli smażyć chcemy mięso na wierzchu komina; nie przeszkadzają zaś wcale, w czasie czynności tej na kuchni angielskiej, gdyż wsunąć je można w otwór fajerki. Kotlety baranie i wieprzowe wyśmienicie się smażą na takiej patelce, nie mniej befsztyk dla chorych, gdyż zupełnie osączyć go z masła można. Są one w kilku wielkościach od kop. 95 do rs. 1 kop. 20.

Do pieczystego zaś są w żelaznych sklepach przygotowane innego rodzaju ruszty, bardzo praktyczne i dogodne, które ustawiają się na brytfannie, a dopiero mięso przyrządzone stosownie się układa; po pieczystem na rożnie, jest to najlepszy sposób przygotowania pieczeni. Ruszty te są z siatki z grubego drutu, na maleńkich nóżkach, są również rozmaitej wielkości i kosztują od kop. 60 do 90.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Maryi M. w Poniewieżu. Katalog książek posłany pod opaską. Osobnego katalogu wyłącznie książek naukowych nie masz wcale.

Pani hr. S. w Cymbałówce. N. 10 Bluszczu wysłany, list według adresu przez posłańca publicznego wręczony. Z przysłanego rs. 1 pozostało w depozycie redakcyi kop. 64.

Pani hr. Józefie Z. Kwiaty o jakie byliśmy zapytani kosztują od rs. 13 do 25, w miarę ich wyższego gatunku. Tarlatan lepiej kupować na sztuki, które zwykle mają 20 łokci 3 łokciowej szerokości. Sztuka wypada na rs. 5 do 7.

Pani hr. Z. w Szenderawach. Włóczki wysłano; pozostało w depozycie redakcyi kop. 69.

Pani Zofji I. w Podgaju. Chustka włóczkowa i krawat posłany.

Panu B. w Dworaliszkach. Nuty wyszły d. 3 b. m., lecz dwa tylko egzemplarze, gdyż na trzeci nie starczyło pieniędzy.

Pani Klotyldzie S. w Nowosiołku. Rs. 100 odebraliśmy. Sprawunki wysłane w dniu 3 b. m. z wyjątkiem trzewików które jutro zapakujemy.

Pani T. H. w Zalesiu. Posyłka z trzewikami skutkiem złego adresu odejść nie może. Prosimy o adres dokładniejszy z wymienieniem ostatniej stacyi pocztowej która posyłki przyjmuje. List wysłaliśmy pocztą.

Pani Maryi w Przydrujsku. Gramatyka kosztuje rs. 3. Opakowanie i przesyłka pocztowa około 30 kop. wyniesie.

Pani A. W. w Dombrowie. Litery i monogramy według nadesłanego życzenia pomieszczone będą w następnych arkuszach kroju Tygodnika Mód, w załączonej zaś do niniejszego Numeru rycinie jest pomieszczony najświeższy model ubrania ślubnego.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie wizytowe. Suknia z czarnej faille ma tunikę i stanik z baskiną z czarnego aksamitu przybrane bogato koronką, pasmanteryą, szarfami i kokardami z jedwabnej repsowej wstążki. Rękawy przy staniku są z materyi faille. Czarny filcowy kapelusik przystrojony aksamitem i białą koronką; w djademowem podpięciu z jednego boku widać pukle aksamitne, z drugiego dwie róże i gałązkę kwiatów.

Fig. 2. Ślubne ubranie. Suknia z ciężkiej, mięsistej materyi białej, odszyta formą princesse z długim trenem. Wielki szalowy kołnierz zapięty kokardą z końcami, ma brzegi zakończone grubą wypustką; podwójne mankiety przystrojone są kokardami; kreza i mankiety z karbowanej krepy. Długi, szeroki welon z illuzji, wianeczek mirtowy.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się rycina kolorowa, oraz na prowincyą Numer 5 Katalogu Księgarni i Składu nut Adolfa Kowalskiego.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 5 (17) Ноября 1875 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.